

22545

MARJAN DUBIECKI.

APOLIN HOFMEJSTER

Odbitka z „ATENEUM WILEŃSKIEGO“ zesz. 2. r. 1923.



W I L N O
1923.

22545
11

31

X-54485
22545 11

X-54485
2254511



Krauscher Warszawa 12 III 32



MARJAN DUBIECKI.

APOLIN HOFMEJSTER, NACZELNIK WO- JEWÓDZTWA BRZESKO-LITEWSKIEGO W POWSTANIU STYCZNIOWEM.

Spiritus flat ubi vult.

Od chwili upadku naszej niepodległości, od chwili ostatniego rozbioru, rozpoczyna się długi nie gasnący na dłuższy czas, okres usiłowań wyzwolenia się z więzów niewoli. Sztandar niepodległości wytrącony z dłoni Kościuszki na pobojuwisku Maciejowickiem, podnoszą współczesne pokolenia, — nie wypuszczają ze swej dłoni późniejsze. Dążność do zrzucenia jarzma obcego trwa wciąż, — ani na chwilę nie gaśnie, — wciąż płonie światłem większem bądź mniejszem, — płonie dłużej znacznie niż przez stulecie... Z iskier tych usiłowań niekiedy rozpalają się pożogi powstań, które zostawiały po sobie ruiny krwią najlepszych synów Ojczyzny zbroczone, — gorycz bezsilności, rozpacz w licznych sercach. Nie mniej jednak usiłowania wydobycia się z pod jarzma niewoli nie gasną; owszem powtarzają się. Prawie każde pokolenie składa niemałą ofiarę krwi, mienia, na drodze do wyzwolenia się. Każde pokolenie, biorąc spadek po ojcach, spadek obowiązku, pracy nad wyjarzmieniem się, starało się obowiązek spełnić, wiarę w przyszłe wyzwolenie utrzymać. Już w duszach bojowników Barskich w przededniu pierwszego rozbioru, spotykamy świadomość konieczności wytrwania pod sztandarem walki z wrogiem do kresu życia, a nawet w mogiłach, nie własną już dłonią, ale usiłowaniami pokoleń późniejszych. Świadomość tę widzimy w jednej z pieśni bojowych Barskich rycerzy: usta ich mówiły: „w grobowcach my jeszcze żołdacy i hufiec Boży“. I hufiec ten trwał przez wieki, nie

uszczuplał się. Przychodziły i odchodziły pokolenia, a hasła wypowiedziane przez Kościuszkę na rynku krakowskim, hasła wolności, niepodległości, całości Rzeczypospolitej, nie uległy zatraceniu, wciąż brzmiały nad Polską ujarzmioną.

Ten odzew bojowy towarzyszył życiu bezimiennych pracowników, którzy w ciągu wieków wielorakim trudem pragnęli okupić tę wolność i zdobyć całość... Padali w trudzie bojowym i w wysiłku myśli, padali zapomniani... Szczęk oręża dla wielu, w niektórych chwilach dziejowych stał się niezrozumiałym, a jednak te hasła ponad obszarami ziemi dawnej Polski wciąż brzmiały, budziły niepokój wrogów i legendy przebytych usiłowań nie zamierały w duszy narodu, budziły zastępy nowych pracowników, stawały się źródłem życia dla następnych pokoleń. I ci nowi stawali do apelu ochoczo, mogliłami swemi wskazując, kędy szły miedze graniczne potężnej niegdyś ojczyzny...

Tak trwało półtora stulecia. Na niwie usiłowań wyzwolenia się narodu z jarzma dążącego do zupełnej zagłady imienia nawet Polski i Polaków, nigdy nie zabrakło pracowników. Byli to nie tylko orężni, ale bojownicy słowa i pióra, ludzie czynu pokojowego, co stali na strażnicach obrony wiary, języka, tradycji, obyczaju. Ich liczba olbrzymia; z ich czynów, w niezmiernym znoju życia nieraz dokonywanych, możnaby ukuć postacie godne pióra Plutarcha, dłuta Fidjasza... Zbytecznem może przypominać, iż w długim dziejowym okresie niewoli duch narodu naszego przeważnie przebywał nie w rdzennych ziemiach Polski, nie nad Wartą, Gopłem, Wisłą, lecz w ziemiach, któreśmy wcielili do kultury zachodnio-europejskiej, na północ od biegu i wodozbioru Prypeci. Z owych to ziem wcielonych przez Polskę do Chrześcijaństwa i cywilizacji, wyszły wielkie postaci Tadeusza Rejtana, Karola Prozora, Tadeusza Kościuszki, Adama Mickiewicza, Juljana Niemcewicza, Romualda Traugutta i szereg innych mniej znanych a bardzo zasłużonych.

Ów potężny duch, ożywiający cały organizm narodu, pozwalający mu w niewoli trwać, rozwijać się cywilizacyjnie istnieć, wzrastać na polu kultury, czynić wysiłki by nie dać się wyprzedzić innym ludom na polu rozwoju myśli, by nie wpaść w otchłań zupełnej ciemnoty, co jest często udziałem ujarzmionych, ów duch narodu przejawiał się u nas wielokroć w takich ogniskach rodzinnych, gdzie się go najmniej spodziewano.

Jednym z bardzo wybitnych przykładów tego zjawiska jest Apolin Hofmeister, postać pod wielu względami nader wybitna, której ani pomijać, ani mieszać z tłumem innych nie należy. Przyszedł na świat wśród otoczenia wcale obcego polskości. Pierwsze lata dziecięce upływają mu nad Wołgą zdala od Polski, zdala od jej języka, obyczaju; nikt mu nie mówi o tej ojczyźnie, której później był tak miłującym synem, wiernym a gorliwym sługą. Nie należy on do tych szczęśliwych dzieci, którym już niemal w niemowlęctwie zaszczepiają w sercach obok czci Boga, cześć dla ojczyzny ujarzmionej, przesuwają przed wyobraźnią budzącą się świadomości pacholecia przykłady cnót, poświęceń, bohaterstwa przedniejszych wśród naszej przeszłości... To wszystko, co dla tłumu innych polskich dzieci chlebem powszednim było, co stało się później dla wielu źródłem życia, dla niego nie istniało. Pieśń polska nie płynęła nad jego kolebką, tradycja narodową nie karmiono jego niemowlęcych lat. Wychowywano go bardzo starannie, zapobiegając o wykształcenie wszechstronne, gruntowne, ale nie wychowywano go wcale na Polaka, chciano raczej w nim widzieć materiał na człowieka zdolnego do zrobienia wielkiej kariery w życiu wśród ówczesnych warunków państwa rosyjskiego, ale przytem posiadającego niemałą siłę odporną na wszystkie przykrości bądź fizyczne, bądź moralne, jakie przyszłość mogła przynieść...

Ród Hofmeisterów pochodził z Saksonji. Przyszli do Polski, podobnie jak liczni inni w epoce saskiej. Prawdopodobnie wyszli z szeregów tych regimentów saskich, które August II do Polski sprowadził, gdzie niektórzy z tych żołdaków niemieckich, związawszy się węzłami rodzinnymi lub z innych względów, pozostali wśród nas i stali się praojcami ludzi pożytecznych dla naszego społeczeństwa.

Ojciec Apolina Hofmeistera, Paweł, był pułkownikiem wojska rosyjskiego; katolik, z przekonań kosmopolita, usposobienia i charakteru gwałtownego, z języka przeważnie Niemiec, acz spokrewniony po kądzieli z rodzinami polskimi Budnych i Kurcuszów, a przez nich z innymi polskimi domami, jak z Domaradzkiemi na Kujawach. Matka z domu baronówna Stackelberg z Kurlandji, kobieta wyższego wykształcenia, protestantka, umiejąca zaszczepić w umyśle syna miłość Boga i cnotę, wiarę opartą na dobrych czynach w życiu. Syn był katolikiem, lecz gdy dorastał, ojciec ze względów utylitarnych skłaniał go do protestantyzmu, gdyż jak wiadomo protestanci w Rosji, szczególnie za rządów Mikołaja I cieszyli się protekcją rządu.

Apolin Hofmeister przyszedł na świat w r. 1825 w Brześciu Litewskim, — lecz wkrótce po urodzeniu wywędrował z rodzicami nad

Wołgę do Symbirska, gdzie ojciec jego otrzymał urząd policmajstra, i tam przebył około sześciu lat. Oczywiście mowa polska wcale znaną nie była przyszłemu wielkiemu patrjocie polskiemu, — w pierwszych sześciu latach życia. Otaczał go język rosyjski lub niemiecki w kole rodzinnem.

Powrót rodziny Hofmeistrów do kraju spowodowany został śmiercią jenerała rosyjskiego Alberga, posiadacza wioski Szostakowa, wuja pani Hofmeistrowej, po którym ona tę wioskę odziedziczyła. Hofmeistrowie, otrzymawszy sukcesję, wracają z nad Wołgi do Polski, osiadają w Szostakowie. Karjera urzędowa pułkownika na tem się zamyka; rozpoczyna się zaś życie ziemiańskie wśród otoczenia sąsiedztwa polskiego w starym dworze Szostakowskim. Fakt przeniesienia się z Symbirska na Litwę zaważył stanowczo na losach pacholęcia bardzo jeszcze małego, lecz nader wrażliwego i już okazującego zdolności nad lata... Zdolności te nie omieszkano zużytkować rozpoczynając bardzo wcześnie jego naukę. Matka zapobiegliwie starała się o wczesne kształcenie jedynaka; ojciec również wcześnie wprowadzał w tem wychowaniu różne metody spartańskie, starając się wyrobić w dziecku samodzielność, orjentowanie się wśród niebezpieczeństw i odporność na wszystkie prywacje, jakie w życiu mogłby spotkać. Trochę w tem było surowości wojskowej z ówczesnej epoki cara Mikołaja.

Przytaczamy tu jeden z przykładów tych metod fizycznego wychowania, które pułkownik stosował względem swego syna. Wśród domowego obejścia był kanał o kilkunastokrotnej głębokości. Podczas gdy mały „Polcio“ przez mostek na kanale przechodził, ojciec zniechęca do wody go wrzucił. Miało to na celu przyzwyczajanie do samopomocy, do wydobywania się własnymi siłami z trudności najwyższych, które życie mogło przynieść. Wydobyło się dziecko z owej topieli i wcześnie hartowało się do przezwyciężania ciężkich prób, co w przyszłości spaść nań miały... Przed ukończeniem siódmego roku życia oddano go do Świsłoczy, gdzie w owych latach było gimnazjum głośnie na Litwie; lecz tak mały chłopiec nie mógł być przyjęty do szkoły, uczył się więc prywatnie na jakiejś pensji żeńskiej pod opieką kobiecą; zdaje się wśród znanej z patrjotyzmu rodziny Heltmanów.

Przypuszczamy, że ten pobyt świsłocki pod opieką niewieścią, nie tylko go nauczył po polsku mówić, ale rzucił pierwsze ziarna polskich uczuć do duszy pacholęcia. Trwała wszakże ta nauka w Świsłoczy dość krótko. Widzimy go bowiem w jaki rok czy też

półtora później w Warszawie w pensjonacie Fergüssonona dla chłopców z zamożnych rodzin polskich ziemian, — a wreszcie w gimnazjum warszawskiem. U Fergüssonona dużo korzysta z zakresu języków obcych i muzyki, do której posiadał nie małe zdolności, — i ona ku końcowi jego życia miała mu dostarczyć środków do bardzo skromnego utrzymania.

Po ukończeniu gimnazjum w Warszawie uczęszcza na studia uniwersyteckie w Berlinie, na wydział filozoficzny, — studjuje historję i filozofję. Tam zetknął się z licznem gronem młodzieży polskiej, zapęlniającej wówczas audytorjum uniwersytetu berlińskiego z najrozmaitszych dzielnic Polski, a nawet z naszej emigracji ówczesnej — jak np. syn księcia Adama Czartoryskiego, książę Witold, z Podola zaś rosyjskiego Włodzimierz Dorożyński, byli słuchaczami uniwersytetu Berlińskiego. Najbliższe stosunki koleżeńskie łączyły Hofmejstra z młodzieżą z poznańskiego, odznaczającą się zamiłowaniem pracy, prawdziwym patriotyzmem, poważnem zapatrywaniem się na zadania życia. Do grona tych najbliższych należeli: Jan Chryzostom Janiszewski, znacznie starszy od Hofmejstra, — późniejszy poseł na sejm pruski do Berlina, późniejszy ksiądz, mówca znakomity, biskup sufragan Poznański, prześladowany przez rząd pruski za dni kulturkamfu i Henryk Szuman również przez szereg lat znany i zasłużony na polu życia publicznego w dzielnicy pruskiej.

Ten ostatni, pochodzący z patriotycznej rodziny Pantaleona Szumana, człowieka wielkich zasług w zakresie naszego życia narodowego, który z Karolem Libeltem był związany stosunkami bliższej przyjaźni i współpracy w różnych sprawach publicznych i zamierzeniach konspiracyjnych, — zaznajomił młodzieńckiego Hofmejstra z Libeltem... Znajomość ta stała się punktem zwrotnym w życiu Hofmejstra. Libelt wprowadził go do ówczesnej wielkiej konspiracji, która pod protektorem centralizacji Wersalskiej dążyła do wywołania powstania jednocześnie w trzech zaborach.

Był to rok 1845. Wstępował do związku pełen zapału i wiary w powodzenie. Wziąwszy na swe młodociane barki ów spadek pokoleń porozbiorowych, — nie pozostał beczynnym, obowiązek spełnił, wiarę w przyszłość lepszą zachował i to po dwakroć: w roku 1846 i w roku 1863.

Związek wysłał Hofmejsra wraz z Röhrem na Litwę dla przygotowania natychmiastowego powstania. Centralizacja nie liczyła się z niemożliwością: zapomniano, że zbyt świeże były ciosy po upadku listopadowej insurekcji, po prześladowaniach znacznie wzmocnionych wskutek wykrycia spisku Konarskiego, aby można się było łudzić, że się wywoła jakiś ruch zbrojny: czujność wciąż się wzmagala. Nie mniej obaj emisariusze spełnili swą powinność: udali się na Litwę; tam obaj zostali ujęci, w więzieniu wileńskim osadzeni. Dzielili los z innymi działaczami 1846 roku.

Badania, ciężka, jak zawsze, moskiewska inkwizycja trwały dwa lata. Po długich próbach więziennych i śledczych, zapadł wyrok skazujący Hofmejsra i Röhra do katongi. Ostatniemu z nich obostrzono wyrok, jako nie szlachcicowi, i przepędzono publicznie przez różgi. Na tem jednak władze rosyjskie nie poprzestały. Postanowiono okazać masom ludowym całą grozę karzącej dłoni władzy: miało to odstraszyć od tworzenia spisków, — miało wypalić w duszach młodego pokolenia wszelkie nadzieje wyzwolenia się.

W mroźny poranek lutowy 1848 r. właśnie wówczas, gdy na Zachodzie europejskim rozpoczynał się ruch rewolucyjny, który miał przebiec przez całą niemal Europę, — Wilno było świadkiem niezwykłego widowiska świadczącego, że ta „wiosna ludów“, której świt rozpałał się nad Sekwaną, nie może być udziałem ziem nad Wilją.

Z bram dawnych klasztorów wileńskich zamienionych przez Moskali na więzienie, wyjechały dwa olbrzymie wozy, na których umieszczono eszafoty wyniosłe. Były to pręgierze ruchome, słupy hańby. Na pierwszym wozie wieziono Hofmejsra i Röhra, na drugim Józefa Bogusławskiego i Anicetego Regniera, doktora medycyny, człowieka dobrze znanego i cenionego w Wilnie. Skazańcy obrócenii plecami do woźnicy, mieli na piersiach zawieszzone tablice z napisem, że są „zbrodniarzami“...

Całe niemal Wilno wybiegło na place i ulice, by ujrzeć niezwykle widowisko. Tłumy patrzyły na ruchome pręgierze ze łzą w oku z przekleństwem dla ciemieżców, trudnością wstrzymywanem na ustach. Ludek wileński bardzo polski, nie obalamucony różnemi teorjami, wybornie rozumiał, że ci zbrodniarze pragnęli wskrzeszenia Polski, o której niepodległość ojcowie mieszczan wileńskich przed pół wiekiem pod Jasińskim walczyli i z nich niejednen przed siedemnastu laty chwycił za oręż w partyzanckich walkach Litwy w powstaniu listopadowem. Nie ciekawość ich tam sprowadzała na węgły ulic i wąskie chodniki wileńskie, — ale głębokie współczucie, głębo-

kie przejście się grozą chwili... Eszafoty ze skazańcami przesuwaly się powoli; policja z policmajstrem na koniu i żandarmerja otaczały wozy. Ponura cisza panowała wśród tłumów. Przerwał ją okrzyk niespodziany, niezwykle, niesłyszany w Wilnie od czasów napoleońskich, gdy „orły złote obok srebrnych” powiewały nad Wilją, — okrzyk ten brzmiał: „Niech żyje Polska! niech żyje wolność“! To był okrzyk z pod przęgierza Apolina Hofmeistera. Okrzyk ponawiał się. Ilekroć przejeżdżano około większej grupy tłumów, — ilekroć ten kondukt żałobny zbliżał się do węgła ulic, Hofmeister podnosił się ze swego stołka pod przęgierzem i ponawiał swój okrzyk. Policja struchlała: policmajster zbliżał się do eszafotu i błagał skazańca by zaprzestał okrzyków. Perswazje były próżne. Okrzyki „Niech żyje Polska“ z młodych piersi wyrzucane wciąż brzmiały, a ich echo nie tylko odbijało się o mury prastarego grodu, lecz wpadało do serc i umysłu tłumów. — wywoływało z głębi dusz uczucie skrępowane wieloletnim uciskiem, a przedewszystkiem odbiły się w młodocianych umysłach.

Słyszeli je patryjotycznie usposobieni młodzieńcy, — Aleksander i Franciszek Dalewscy, którzy wówczas właśnie splatali sieć konspiracji wśród warstw rzemieślniczych drobnego mieszczaństwa, — a od owego dnia pamiętnego w życiu Wilna rozpoczęli z większą energią rozwijać swoje konspiracyjne zabiegi.

Słyszała je liczna młodzież szkolna a wśród nich Ludwik Narbutt i o kilka lat od niego młodszy Władysław Henszel, — i w ich duszach ta manifestacja groźnego despotyzmu i te śmiałe okrzyki z pod przęgierza, rzucane niezwyciężonej przemocy caratu, dorzuciły niejedno zarzewie do płonącego w ich piersiach uczucia miłości ojczyzny, ujarzmionej, nieustannie znieważanej, bezlitośnie torturowanej. Narbutt rzucił się od owej chwili w wir konspiracji nurtującej wtedy w sercach młodzieży wileńskiej, co go wkrótce zaprowadziło do więzienia i na dziesięcioletnią żołnierkę w górach Kaukazu; Henszel zaś po dziewięciu latach, opierając się na wzorach stowarzyszenia Dalewskich, zawiązuje w gronie młodzieży uniwersyteckiej w Kijowie, stowarzyszenie tajemne patryjotyczne znane pod nazwą „Trójnicki“, — które później wytworzyło kadry organizacji powstańczej w Kijowie, w r. 1863. Obaj zaś oni — Narbutt i Henszel składają swe życie, — w r. 1863, — na ołtarzu usiłowań odzyskania niepodległości Ojczyzny.

Tak więc wielka wileńska manifestacja karzącej dłoni caratu chybiła celu i nie wywołała tego wrażenia przygnębienia i przestra-

chu, — czego się rząd spodziewał. Następstwa były wręcz przeciwne: rozżarzyła patryjotyzm, rozszerzyła świadomość narodową w warstwie dotąd obojętnych... Jak ta świadomość wywoływała braterskie uczucia wzajemnego wspierania się bez względu na różnice stanowisk społecznych, — jak sprzęgała ludzi różnych stanów w zwartą falgę narodową — przynajmniej w obrębie Wilna, — przechowały się o tem tradycje wskazujące stosunki, zaiste, dziś nigdzie nie spotykane... Oto po uwięzieniu braci Dalewskich i wysłaniu ich do katorgi, matka wysłanych, wdowa, — obarczona przytem ośmiorgiem drobnych dzieci, znalazła się w bardzo przykrej pozycji. Wówczas zgłosił się do niej cały zastęp straganiarek, przekupniów, rzeźników, sklepikarzy z krańców miasta, z oświadczeniem gotowości dostarczania wszelkich produktów spożywczych przez cały ciąg nieobecności skazanych jej synów; należytość zaś zwróconą będzie po ich powrocie z wygnania. Drobny ten fakt samorzutnej ofiarności sfer niezamożnych niezaprzczonym jest dowodem, iż ówcześni działacze polityczni na Litwie zaszczipiali jedynie miłość ojczyzny, — podnosili serca, oświecali umysły, — a zawiść wszelka wśród warstw społecznych, wszelkie przenoszenie obcych haseł na nasz grunt narodowy było im obce. Pragnęli jednoczyć, nie dzielić, — i rzeczywiście jednoczyli.

Apolin Hofmeister był wysłany do katorgi do Orska w zachodniej Syberji. Przestrzeń bliższa go oddzielała od Polski, niż tych, co umieszczeni byli w tak zwanym Nerczyńskim okręgu, ale warunki w zakładach karnych zachodniej Syberji przeważnie cięższemi mieniono. I słusznie. W górniczym okręgu Nerczyńskim skazańcy polityczni zależnymi byli od zarządów górniczych, od ludzi wykształconych, od inżynierów górniczych, gdy w zachodniej Syberji podlegali brutalnym, często na wpół dzikim, oficerom zakładów karnych, tak zwanych rot aresztanckich. Historia naszych wygnań, dotąd nieopracowana i prawdopodobnie nigdy dokładną nie będzie, mogłaby wskazać przerażające fakta znęcania się nad więźniami politycznymi komendantów owych stepowych forteczek. Krwawe dzieje Józefa Żochowskiego, profesora z Warszawy, w Ust-Kamienogorsku, (umarł w r. 1852) lub Franciszka Dobkiewicza w Orsku, gdzie Hofmeister przebywał, są przerażającą ilustracją tamecznych stosunków.

W Orsku, podobnie jak w innych zachodnio syberyjskich zakładach karnych, więźniowie polityczni razem byli umieszczeni i razem pracowali ze zbrodniarzami, co oczywiście znacznie pogarszało ich

położenie. Taki los spotkał Hofmeistra. Cieżkie warunki w jakich był w Orsku, nie zmieniły jego usposobienia; zawsze pogodny, zawsze gotów ulżyć ciężkiej doli innych, zawsze pełen mocy ducha, lubianym był i szanowanym. Pierwszy raz w życiu zetknął się on tam z masą ludową rosyjską, z jednostkami, których wrodzona dzikość, skłonność do okrucieństw podniesionemi były do znacznej potęgi przez popełnione zbrodnie, przez obcowanie ciągłe ze zbrodniarzami. Wielkim taktem, łagodnem usposobieniem, poświęceniem się nieraz, gdy chodziło o obronę i ocalenie od kary tych współwięźniów zbrodniarzy, wśród różnych przygód życia więziennego, zdołał on pozyskać przychylność tego ciemnego, zaprawionego do wszelkich przestępstw, zuchwałego tłumu... Zwykle utrzymują, że tylko siła brutalna zdolną jest powstrzymać tę ciżbę zdziczałą, zbrodniczą i zdobyć wśród niej powagę. Hofmeister dowiódł, iż są inne szlachetniejsze czynniki w duszy ludzkiej zdolne też trzymać na wodzy nawet najbardziej wylanej na wszystko złe tłuszczy. Mądrze zastosowana miłość bliźniego, dążenie do pomocy każdemu, uznawanie w upadłym moralnie, znikczemniałym, zatwardziałym w występkach równego sobie człowieka, to środki, któremi się on posługiwał, któremi pozyskał przychylność, nieraz posłuch i obronę zdziczałej ciżby, do której dotąd nikt nie przemawiał głosem miłości Chrystusowej, głosem rozwagi, współczucia kojącego wszelkie rany... Tego rodzaju zadania podjął się ów przed niewielu laty akademik berliński studjujący pilnie filozofję Hegla, ów niedawny wykwintny, piękny młodzieniec, podziwiany z powodu swojej gry na fortepianie w salonach Berlina, teraz w smutnych bezbrzeżnych stepach Kirgiskich, we wstrętnych koszarach forteczki, zrównany z innymi co do bytu, ubrania i pożywienia niezmiernie przykrego, trącaącego złą wonią.

Podjął się uszlachetnienia tej tłuszczy i uszlachetniał!..

Były dla niego lata przebyte w Orsku nową akademją, bardziej owocną niż studja Heglowskiej filozofji w Berlinie, niż wykłady Schellinga. Zdobył on tam klucz do dusz ciemnych, nieufnych, goryczą przesiąkniętych, i po latach, gdy odwróciła się karta jego życia, gdy wrócił do kraju i korzystał ze skarbony swoich doświadczeń zdobytych w niewoli i poniżeniu syberyjskiem, aby podnieść, uszlachetnić swoich włościan. Próba ponowna w Brzeskiem województwie, w rodzinnym Szostakowie, wypadła również, może bardziej jeszcze pomyslnie...

Niestety, nikt go na tem polu nie naśladował. Owocna jego działalność, w stosunku do włościan, uległa zupełnemu zapomnieniu.

Tem skwapliwiej przeto staramy się jej tradycje ocalić od zatracenia i wnosimy je na kartę materiałów dziejowych, aby świadczyły o jakości ludzi, co spiskowali wobec Moskali w r. 1846 a organizowali oddziały powstańcze w r. 1863.

Umieszczony wśród ciżby różnych zbrodniarzy, Hofmeister, nie tylko miał utrudnioną, prawie niemożliwą zupełnie komunikację z rodzicami, (generał Lewicki wyjątkowo tam ludzki człowiek, za dane mu pozwolenie napisania listu do matki, doznał wielkich przykrości) ale prawie nie miał w Orsku kolegów ziomków, Józef Bogusławski, z którym bliższe łączyły go stosunki, odbywał karę w Ust-Kamienogorsku. W Orsku byli tylko dwaj polityczni przestępcy: Skrzetuski i Franciszek Dobkiewicz. Ten ostatni, młody chłopak z Litwy chociaż jeszcze bardzo młody, już wyróżniał się charakterem i wielu sympatycznymi właściwościami swego usposobienia: cichy łagodny, wytrwały, żywił to przekonanie, iż wszystko znieść powinien, że dla wyjednania ulgi dla siebie do kłamstwa uciekać się jest niegodną rzeczą Chrześcijanina i Polaka. Takim go widziano w Orsku, gdzie nie uchylał się od najprzykrzejszych robót, acz siły jego były słabe, budowa wątła, siłą ducha tylko się dźwigał. Takim go po latach spotykał na Syberji piszący te wyrazy, gdyż Dobkiewicz po powrocie do kraju wziął udział orężny w powstaniu r. 1863, co go zaprowadziło do katorgi we wschodniej Syberji.

Przygoda nader smutna jaka spotkała tego młodzieńczego wygnańca z Litwy w Orsku, odbiła się mocno w sercu Hofmeistera. Owcześnie komendant tego zakładu karnego, pułkownik Niedobrowo, Rusin z pochodzenia, szczególną miał niechęć do Dobkiewicza. Spotkawszy go raz wracającego wraz z innymi więźniami z roboty, wymyślał go bez powodu, a swe wymyślanie zakończył wyrazami, „że taki jest nikczemny jak cały naród polski“... Dobkiewicz pospolicie cierpliwy, gdy szło o niego, nie mógł znieść zniewagi narodu. Położył na ziemię topór trzymany w ręku, a podniósłszy różgę uderzył nią siedzącego na koniu komendanta, wołając: „narodu mego zbeszczeszczać nie ośmielaj się!“

Oddano go pod sąd, który go skazał na 6000 pałek. Tego rodzaju barbarzyńska kara pospolicie figurowała w wyrokach za dni Mikołaja I... Dowódca ówczesny Orenburskiego korpusu, generał Alexy Perowskij, człowiek zacny i wyższego umysłu, długo wahał się konfirmować to barbarzyńskie zarządzenie sądu; wreszcie zmniejszył karę do 1000 pałek i kazał wyrok wykonać... Przed wykonaniem

przypadek zrzucił, że lekarz, Polak, który wedle przepisu prawa powinien był zbadać czy skazany na karę cielesną zdoła ją wytrzymać, wpadł na myśl dania mu lekarstwa, które wzbudzając silne bicie serca, mogłoby uwolnić od tak okrutnej egzekucji. Dobkiewicz lekarstwo otrzymał, ale nie zażył. Ponowne badania lekarskie stwierdziły normalny stan zdrowia... Środki ocalenia zawiodły. Wyrok wykonano... Zapytywany później przez kolegów Dobkiewicz o przyczynę niezacycia lekarstwa, oświadczył, że uczynił to z całą świadomością; uważa bowiem, że „wszystko przenieść powinien co nań Bóg dopuszcza, a podobne uchylanie się od bólu jest nieszlachetne“. Cała ta sprawa, jak powiedzieliśmy, odbijała się nader boleśnie na wrażliwym usposobieniu Hofmejstra; cierpiał nie mało, iż z pomocą przyjść nie mógł; a przytem brak kolegów ziomków. osamotnienie zupełne, wśród smutnych stepów pozbawionych roślinności, pomnażał jego tęsknotę za tem wszystkiem, co w kraju zostawił. Cierpienia moralne znoszone bywają łatwiej, gdy się widzi otoczenie współwygnańców. W ich obliczach, w ich myśli, w obcowaniu z nimi, odbija się niejako obraz utraconej Ojczyzny.

Prawdę tę wypowiedział nader pięknie jeden z wygnańców epoki ówczesnej, Gustaw Ehrenberg w jednym ze swych poetycznych utworów:

Ten, kto nam pozazdrościł dymu własnej strzechy,
W pustyni, do skał dzikich przykuł nasze życie,
Ostatniej wygnańcowi nie odjął pociechy,
W sercach bratnich ojczyzny zostawił odbicie”...

„Odbicie Ojczyzny“ w sercu i umyśle Hofmejstra utrwaliło się, gdy go uwolniono z rot aresztanckich w Orsku na tak zwane „osiedlenie“ i pozwolono wreszcie zamieszkać w Tobolsku. Spotkał tam dość liczne grono wygnańców ziomków, — zdobył możność korespondowania z rodzicami, — poczuł się jak gdyby zbliżony do kraju; tocząca się wtedy wojna krymska, niepomysłna dla Rosji, budziła nadzieje zmian w państwie carów, a w następstwie powrót polskich wygnańców do Ojczyzny. Te marzenia rzeczywiście wkrótce się ziściły. Zdobycie przez koalicję państw zachodnich Sewastopola, samobójstwo cesarza Mikołaja I, który nie miał odwagi przeżyć swego upokorzenia, — wstąpienie na tron Aleksandra II-go, przynoszącego zapowiedź rządów mniej surowych, zbliżyły chwilę amnestji dla licznych zastępów polskich wygnańców. Wiosna 1857 roku odemknęła im bramy powrotu do Polski. Wśród wielu innych, wraca i Hofmeyster.

Nim jednak nadeszła ta chwila upragniona, zaszły w jego stosunkach, podczas pobytu w Tobolsku, znaczne zmiany. Przybyła doń z Polski jego narzeczona Heloiza Kurcyszówna, którą w Tobolsku zaślubił, a wprędce potem nadeszła wiadomość z kraju o zgonie w ciągu jednego tygodnia obojga jego rodziców. Wracał więc do rodzinnego Szostakowa pełen żałoby, — nie wiedząc nawet dokładnie jaki jest jego stan materialny po zgonie rodziców.

Wyrok skazujący go na wygnanie orzekał jednocześnie konfiskatę jego majątku. Stary Hofmeister, przewidując, że syn jego z czasem powróci i chcąc go ocalić przed konfiskatą majątku, na kilka lat przed swym zgonem, aktem urzędowym wydziedziczył syna, mianując swym spadkobiercą swego siostrzeńca Michała Budnego, który wszedł w posiadanie Szostakowa po zgonie obojga starych Hofmeisterów. Skoro jednak Apolin wrócił z wygnania, pan Michał Budny, człowiek wysokiej zacności, oddał mu całą jego ojcowską spuściznę.

Wróciwszy do gniazda rodzinnego w Szostakowie, Hofmeister pełen jeszcze sił i zdrowia, — z niezmiernym, sobie właściwym zapalem rozpoczął pracę również gospodarską na roli, jak obywatelsko-narodową, dążącą do podniesienia ludu wiejskiego z ciemnoty, do umoralnienia wyższego, do postawienia go nareszcie na szczyblu większego dobrobytu. Wieś Szostaków składała się z trzydziestu kilkudymów, tworząc długą ulicę, na końcu której stała karczma z arendarzem żydem. Pierwszą czynnością młodego gospodarza było zamknięcie karczmy i usunięcie ze wsi żyda, ku zdziwieniu włościan i sąsiednich ziemian. Skasowana karczma zamienioną została na szkołę z mieszkaniem dla nauczyciela, którego oczywiście sam opłacał i sam czuwał nad wykładem i postępami uczniów. Włościanie z początku niechętnie, raczej nieufnie posyłali do szkoły dzieci; wprędce jednak, widząc, iż pan na nią łoży, iż się nią gorliwie zajmuje, kontroluje wykłady, — iż chłopcy korzystają i zaczynają polskie książki czytać „jak sami panowie“, co raz chętniej, coraz gromadniej zaczęli posyłać swoją dziatwę płci męskiej, bo dziewczynki niekiedy uczęszczały na naukę do dworu, gdzie pani Hofmeisterowa sama uczyła robót ręcznych na drutach, szydełkiem, szycia i haftu. Po kolei brała ta rozumna obywatelka kraju kilkoletnie dziewczynki do dworu i obszyte, umyte, główki postrzyżone, oddawała matkom, — własnym przykładem ucząc matki, jak się mają z dziećmi obchodzić.

Prześcigali się niejako oboje Hofmejstrowie w tej pracy dla ludu wiejskiego powierzonego przez los ich opiece moralnej i materjalnej. Koniec roku szkolnego był wiejską uroczystością. Hofmejer urządził popis. Lepsii uczniowie na popisie otrzymywali nagrody i, zaiste, zasłużone. Postępy wiejskich chłopaków były znaczne i szybkie. Praca nauczyciela p. Swierczyńskiego, nie szła na marne, ani też czujność i zabiegi założyciela i opiekuna szkoły.

Na jednym z ostatnich popisów w cichym a pracowitym Szostakowie, kiedy już głuchy pómruk zbliżającej się burzy 1863 r. zbliżał się, jeden z wiejskich chłopaków, o Inianych włosach i lazurowych oczach, nazwiskiem Kreszko, tak wielce odróżniał się swemi odpowiedziami, swym postępowaniem szybkim, iż ucieszony Hofmejer dał mu jako nagrodę książkę, którą sam niegdyś otrzymał za celujące postępy w szkole Fergüßsona w Warszawie.

Wszystkie te zabiegi i cała praca obojga Hofmejstrów nie kończyły się na szkole, na podnoszeniu światła i moralności wśród dzieci włościan. Pracowano i nad starszym pokoleniem wieśniaków, burząc ów mur odwieczny nieufności, goryczy, jaki dzielił lata całe chaty wieśniacze od dworu; mur zdawało się tak mocny, że żadna, jak mniemano, siła ludzka zburzyć go nie zdoła, zwłaszcza, iż inni, obcy, współcześni nieprzyjaciele dworu, a obojętni dla chaty wieśniaka starali umacniać ten mur. Hofmejer, acz nie Samson, który jednym wstrząśnięciem obalił mocne zapory, rozpoczął długą cichą pracę nad obaleniem tego muru, oddzielającego dwór od chaty i — w ciągu kilka lat pracy — dokonał ze skutkiem zupełnym... Pracę nad pokoleniem starszym swych chłopów rozpoczynał od osobistego zetknięcia się z nimi. Co niedzielę i co święta przychodzili oni do dworu na pogadankę z panem. Wnet po powrocie do kraju i osiedleniu się na ojczystym zagonie wprowadził on te pogadanki. Poruszano na nich różne kwestje gospodarcze, radzono nad podniesieniem uprawy roli, nad środkami podniesienia ogólnego dobrobytu i innemi sprawami związanymi z życiem bieżącym wioski. Jeżeli przypomnimy, że było to jeszcze w epoce poddaństwa i pańszczyzny, nie powinniśmy się dziwić, że patrzano na to zdala ze zdumieniem, z nieukrywaną niechęcią. Uważali to niektórzy za zdrożną demagogię. Hofmejer jednak w pracy nie ustawał, mając na celu w ten sposób przygotować włościan do zupełnego od pańszczyzny uwolnienia i nadania im pewnej ilości ziemi.

Ponieważ zaś obawiał się, aby rząd w tę jego reformę nie mieszał się, urządził w ten sposób, że corocznie uwalniał od pańszczyzny

po kilku włościan, jakoby w nagrodę za usługi oddane dworowi. Znalazło się między nimi pięciu takich, którzy tego daru nie przyjęli. od Hofmejstra, idąc za namową rządowych ag'tatorów, a jako powód nieprzyjęcia daru podawali, „*że car im bolsze da*“... Omylili się jednak bardzo i stali się później pośmiewiskiem swoich współbraci, z powodu łatwowierności, bo gdy nadeszła rządowa reforma włościańska, gdy rząd nadawał grunta, obdarowani przez Hofmejstra dostali tyleż co i ci którzy odrzucili. Nieufający żadnych korzyści nie zdobyli; i tych nieufających, głównie na cara liczących garstkę tylko widziano, zaledwie ósmą część całości gromady Szostakowskiej.

Sąsiedzi Szostakowa, zwłaszcza pokolenie starsze, z niechęcią jak już powiedzieliśmy, — nawet często z gwałtownem oburzeniem patrzyło na postępowanie Hofmejstra z włościanami, — nie mogli sobie wyobrazić, by się znalazł taki osobnik, któryby w nich widział ludzi, a nie siłę pociągową. Mówili wielokroć, że ten nowator z czasem przekona się o ich niewdzięczności...

Przyszłość przyniosła obraz inny, piękny, nawet zdumiewający.. Wskażemy to na dalszych kartach naszego wspomnienia. Siew rzucony ręką zanego człowieka w te pierwotne dusze wydał plon nadspodziewanie wspaniały... Gdy tym wieśniakom, owym „Sidorczukom“ — „Kowalczukom“, — tym biednym kmieciom białoruskim, nagle znikł on z oczu, gdy go porwała ręka wroga i powtórnie rzuciła w okowy, w pustynie wygnania, w przepaść nędzy i trosk bezbrzeżnych, — gdy wszystko opuścił, aby pójść tam, dokąd go obowiązek narodowy wzywał, i poświęcić wszystko na ołtarzu nadziei wyzwolenia ojczyzny, oni, te dusze prostacze, idą za nim myślą, idą ukochaniem, łzą, która dotąd tylko nad własną biedą płakać umiała. W swych sprawach domowych, w zajęciach drobnych, do niego listownie się odwołują, — gdy on ponownie był na Syberji; pragną by ich rozjemcą pozostał. W swej naiwnej wyobraźni sądzą, że do nich wróci... że „Bóg sprawi cud jego powrotu“ pod dach ojczysty, pod ich stęsknione strzechy...

Praca Hofmejstra nad podniesieniem moralnem i materjalnem swoich włościan, stanowczo się różniła od zalecanych środków przez demokratyczną Centralizację Wersalską, które miały masy ludowe skłonić do tłumnego udziału w zamierzonym powstaniu z trzema zaborami jednocześnie, w r. 1846. Tam nic nie dawano tylko obiecywano; ale żądano wzamian za obietnicę natychmiastowej ofiary krwi w sprawie, której ów lud, niestety, nie rozumiał, do czego wcale ani umysłem, ani uczuciem, nie był przygotowany. Hofmejster nic nie

obiecował, lecz dawał i nic nie żądał... Stał więc pod względem rozumu i serca daleko wyżej od tych teoretyków z naszej ówczesnej emigracji, którzy stawali u steru robót konspiracyjnych przed rokiem 1846 i w owym krwawej pamięci roku.

Doświadczenia przebyte wskazały mu, iż chcąc widzieć lud stojący pod sztandarem walki o niepodległość Ojczyzny, potrzeba ten lud naprzód wyprowadzić ze stanu upośledzenia i ciemnoty; a sam już ten lud wejdzie do zakresu życia obywatelskiego. Praca to długich lat, — on ją rozpoczął i systematycznie, powoli prowadził. Nietylko jednak, jak mniemamy, pobudki patriotyczne wprowadziły go na drogę tych zabiegów, o jakich mówimy, ale lata przebyte w tem piekle istnienia ludzkiego, w Orsku, gdzie dotknął się tylu ran społecznych, napatrzył się na niezmierną liczbę niedoli i krzywd z ciemnoty i upadku moralnego, które ludzie sobie wzajemnie zadają, iż zapragnął, bodaj na małym polu swego wódatarstwa pewną grupę ludzi uszczęśliwić.

Szlachetna ta praca zaledwie kilka lat trwała, przynosząc mu moc wielką radości ze szczęścia innych. Wypadki styczniowego powstania wszystko przerwały.

Obok owych zabiegów w zakresie życia obywatelskiego, prace gospodarcze mnóstwo mu czasu pochłaniały. W ostatnich latach życia swego stary pułkownik Hofmejer zaniedbał był nieco gospodarstwo, — budynki uległy pewnej ruinie. Młody gospodarz wszystko to p^oniósł. Przedewszystkiem stary charakterystyczny dwór, przypominający epokę przedrozbiorową, jakich dziś już niewiele na ziemi naszej, znacznie poprawił. ^oPrzed tym starym dworem, w głębi ogrodu stał domek dla dzierżawcy, w czasach gdy właścicielem Szostakowa był generał Alberg. W tym domku dla dzierżawcy, dnia 7-o lutego 1825 r. (nowego stylu) urodził się Romuald Traugutt, którego ojciec wówczas dzierżawił Szostaków od jen. Alberga. Tak więc ta cicha wioska litewskiego Polesia jest niejako kolebką dwóch niepospolitych ludzi z epoki styczniowego powstania. Z jej nazwą łączą się wspomnienia tych dwóch przedniejszych mężów owej epoki. Dziś tam wszystko zniszczone, — zresztą ów dworek, gdzie się urodził Traugutt w r. 1863 już nie istniał.

W obecnych czasach mieszkańcy Brześcia Litewskiego powzięli myśl wniesienie w swem mieście pomnika dla poetki Konopnickiej, która Brześcia nigdy nie widziała i żadne wspomnienia jej życia z Brześciem się nie łączą. Właściwiej byłoby pomyśleć o upamiętnieniu w Szostkowie, w ogrodzie dawnego dworu, imion Romualda

Traugutta i Apolina Hofmejsra. Pierwsze z tych imion jest już dość znane w całej Polsce, — drugie zapewne jeszcze żyje w pamięci tamecznych wieśniaków, których serca poczuwały się długo do wdzięczności dla niego.

Wybuch powstania styczniowego, jeśli dla Kongresówki nie był niespodzianką, — to naodwrot, na Litwie wcale go się nie spodziewano i przygotowań doń nie robiono. Istniała wprawdzie propaganda stronnictw „ruchu” wzdłuż budującej się linii kolei żelaznej warszawsko-petersburskiej, głównie na przestrzeni Białostok — Grodno, gdzie działał Bronisław Szwarce, ale rezultat tej roboty był dość niski. Wogóle, aż do chwili wybuchu w Królestwie, stronnictwo „ruchu”, jak je wówczas nazywano, na Litwie, nie używało wziętości. Nawet w takim ognisku życia, jak Wilno, zbyt mała była grupa jego zwolenników, — zbyt szczupłe kadry przyszłych powstańców. Mówiono o nich w kołach umiarkowanych z pewnym odcieniem lekceważenia.

Umiarkowanym kołom, tak zwanym „Białym”, przewodniczył Aleksander Oskierko, do których ciążył nawet dawny spiskowiec, od paru laty powrócony z Syberji, Franciszek Dalewski. Jeżeli w Wilnie głównie „Biali” głos zabierali, tem bardziej ten kierunek przeważał na prowincji. W Wilnie garstka tak zwanych „Czerwonych” miała za swego przodownika malarza Andriolego. W Kownie Bolesław Dłuski, później w oddziałach powstańczych znany pod nazwą Jabłonowskiego, przewodził tamecznym zwolennikom „ruchu”... Wszystko, co miało zabarwienie „czerwone”, tak było i liczbą i wpływem szczupłe, słabe, że można było przypuścić zupełnie bierne zachowanie się Litwy. Stało się jednak inaczej.

Gdy za Niemnem, za Bugiem rozległ się szcęk oręża, gdy rozniecono nad Wisłą ogniska obozowisk powstańczych, — Litwa drgnęła; nie mogła opuścić Korony, poszła w bój krwawy, poszła z polską myślą, z litewską wytrwałością... Liczne mogiły w lasach litewskich świadczą o tej wytrwałości. Już dnia 6 lutego 1863 r. we dwa tygodnie po rozpoczęciu powstania w Koronie, widzimy w Wilnie zjazd ziemian z różnych okolic Litwy, na którym postanowiono wziąć udział w walce. Wytworzył się tak zwany „Wydział Litwy” — instytucja, mająca czynić przygotowania do powstania i niem kierować. Wydział rozpoczął swą działalność od mianowania naczelników

województw i powiatów, którym włożono na barki zbyt ciężkie zadanie tworzenia sił bojowych z niczego. Wśród naczelników województw stanął jeden z pierwszych Apolin Hofmejer. Już na owym zjeździe w Wilnie, gdzie rzucono podwaliny organizacji narodowej, gdy poszukiwano ludzi energii i poświęcenia, Hofmejer w Brzeskiem jedynym mógł być kandydatem. Zaproponowano mu więc kierownictwo w jego województwie... Nie odmówił, ani chwili nie zawahał się, podobnie jak przed laty, kiedy Libelt powoływał go do związku wielkiej konspiracji.

Całe ziemiaństwo Litwy stanęło na stanowisku wysoce patriotycznym; wobec tego, że w Kongresówce już krew płynęła, stanęło na stanowisku wspierania powstania z całym poświęceniem, z całym zaparciem się siebie. W tem kole ziemiańskim Hofmejer należał do najwybitniejszych. Opuścił swój warsztat pracy nad oświeceniem i umoralnieniem ludu, — opuścił i własny spokój i dobrobyt, i to wszystko co serce raduje i życia jest pojętą... Wziął po raz wtóry na ramiona swe krzyż wyzwalania i poszedł tą drogą krzyżową, która odtąd była szlakiem jego życia usłanym cierpieniem aż do końca dni.

Wynajdywanie ludzi, by ich postawić na różnych szczeblach organizacji, zajęło mu czasu nie mało, — pragnął bowiem mieć jaknajlepszych. I znalazł ich. Wogóle organizacja cywilna na Litwie, z małemi może wyjątkami, — bo gdzież ich niema, — stanęła na wysokości swojego zadania trudnego, — wybór okazał się przeważnie trafnym i wybrani na różne stanowiska zadaniu swemu odpowiedzieli.

Z inicjatywy oczywiście Hofmejstra, jako wojewody brzesko-litewskiego, tworzył się oddział powstańczy kobryński. Jego dowództwo umyślił on oddać Romualdowi Trauguttowi, człowiekowi obeznanemu ze sztuką wojskową, którego znał od lat dziecięcych, — wszak, jak wiemy, Traugutt urodził się w Szostakowie, — ale znajomość była dorywczą: obaj część życia spędzili po za krajem. Hofmejer, powołując na dowódcę tak zwanej „partji“ Kobryńskiej Traugutta, nie przeczuwał, jak wielką siłę moralną powołuje i wciela do ruchu narodowego.

Nie widzimy w biegu wypadków, aby do szeregu sił powstańczych powołał ten dziedzic Szostakowa kogoś ze swych włościń lub z czeladzi dworskiej. To co czynił dla wieśniaczej gromady, czynił, że się tak wyrazimy, bezinteresownie. Nie chodziło mu wcale o zdobycie, o zniewolenie jednostek pod chorągiew powstańczą, — nie pragnął stać się agitatore: pragnął być nauczycielem ludu... Przypusz-

czał, że ten lud należycie oświecony, z czasem samorzutnie się wcieli do życia obywatelskiego i nie zamknie drzwi swej chaty przed nakazem służenia ojczyźnie, — i myśl tego ludu z czasem pójdzie temi drogami, któremi kroczyć będzie patriotyczna myśl dworu.

Taki był mniej więcej program działalności tego naczelnika województwa Brzeskiego. Może w koszarach aresztanckich w Orsku, — może przy taczkach pracy katorżnika, wysnuł on myśli, które, zamieszkawszy pod ojczystym dachem, zamienił na czyn. Żywiłowy ruch narodu, skierowany do natychmiastowego odzyskania wolności, przerwał mu dalsze wykonywanie tej zamierzonej, na lata obliczonej pracy.

Że ów ruch styczniowego powstania był żywiłowym, że się mógł jako taki rozszerzyć szeroko, bardziej niż wszystkie inne, co go poprzedziły, — że nawet nieco w głąb masy społecznej wsiąkł, pamiętać o tem winni ci, co spisywać będą dzieje owych wysiłków, owych walk beznadziejnych, w wielu razach szczytnych.

Wśród ówczesnego polskiego społeczeństwa na Litwie Hofmeister ze swym programem pokojowej pracy, obliczonej na długie lata, nie był wyjątkiem. Takich było wielu, ale nikt nie był mocen powstrzymać biegu wypadków, podobnie jak na stokach Alpejskich niepodobna wstrzymać lawiny śnieżnej. Wypadki biegły z olbrzymią siłą, porywały z sobą ludzi, rzucały ich w wir walki, prac, zabiegów tem łatwiej, tem szybciej, iż była to epoka wielkiego podniesienia ducha, niezmiernej ofiarności, bezbrzeżnego poświęcenia. Mogli niektórzy przewidywać, iż po dniu ofiar i czynów niezwykłych nastąpi ciemna noc niedoli, — ale i ci nie cofali się przed pracą, przed poświęceniem: taką była moc chwili dziejowej. Szczęśliwy kto w owych dniach żył. Tradycja owej epoki stała się dla późniejszych pokoleń źródłem życia, pocieszeniem w ciężkich latach dalszej niewoli.

Na stanowisku wojewody powstańczego w Brzeskiem utrzymać się zdołał Hofmeister pół roku. Rządy Murawjewa wspierane gorliwością wykonawców jego krwawych rozkazów, niszczyły zapamiętałe sieci organizacji narodowej. Zabierano tłumnie ludzi wykształconych, bardziej znanych lub cenionych w powiecie, — w tej nadziei, że może wśród nich jest ktoś z wybitniejszych działaczy w organizacji. Działano naoślep, lecz tego rodzaju praktyka nietylko zabierała członków organizacji, przypadkowo wpadających w te łowcze sie-

ci nieprzyjaciół, ale unicestwiała materiał, któryby mógł zastąpić ludzi straconych. Teroryzm tak się rozwielił, że w Wilnie już ku końcowi sierpnia 1863 r. konferencja wybitnych działaczy powstania, ukrywających się pod obcemi nazwiskami, nie mogła sobie odnaleźć zupełnie bezpiecznego miejsca w mieście. Oskar Awejde, przybyły z Warszawy, i Konstanty Kalinowski schodzili się na cmentarzu ewangelickim, aby odbyć naradę wśród niemych świadków ich rozmowy. I na prowincji było coraz niebezpieczniej. Okolice całe wyludniały się. Powiaty Brzeski i Kobryński, wskutek masowych aresztowań, wywożeń w głąb Rosji bez badań i sądu, prawie zupełnie wyludniły się. Wzdłuż prawych wybrzeży Bugu, na znacznej przestrzeni, dwory pustką stały. Wobec tej ciężkiej sytuacji, gdy już wszelka organizacja władz powstańczych została najzupełniej sparaliżowana, gdy zabrakło ludzi i możliwości działania, i osobiste bezpieczeństwo co chwila zagrażało Hofmejstrowi, opuścił on stanowisko swoje, jako bezprowrotnie straconą placówkę. Nie wyemigrował jednak za granicę, na Zachód, ale pod pozorem kuracji wyjechał do Rosji, do wód w Starej Rusie (w gubernii Nowogrodzkiej), gdzie oczekiwał dalszych wypadków. Były to początki sierpnia; ludzono się u nas jeszcze interwencją zbrojną państw zachodnich.

Kuracja rzekoma w solankach Starej Rusy długą nie była. Ścigany przez Murawjewa Hofmeijster został tam ujęty, do Wilna przywieziony, sądzony i na katorgę skazany, którą odbywał we wschodniej Syberji, w Usolu, pod Irkuckiem.

Podczas badania w wileńskich inkwizycjach Hofmejstra, władze rosyjskie miejscowe, brzeskie, najechały jego do młw Szostakowie; dokonały pod pretekstem rewizji rabunku; zabrano z ruchomości rzeczy kosztowniejsze, z zabudowań gospodarskich na folwarku część dobytku, mówiono, że cały majątek będzie skonfiskowany, więc nie czekając na wyrok konfiskaty zabierają dla rządu co się daje na razie. Oczywiście, że to poszło nie do rządu, ale pozostało w kieszeniach czyniących rewizję. Po ukończeniu rabunku, dla uzupełnienia klęski żonę Hofmejstra i kobiety z nią spokrewnione, wśród których było dwoje dzieci, — słowem wszystkich, jakich zastano w domu, zabrano i wywieziono do gubernii Ołonieckiej.

Ten najazd, rabunek i porwanie całej rodziny wraz ze wszystkimi domownikami nie tylko był wówczas udziałem Hofmejstra; spotykano takie wyludnianie dworów pod ładą pozorem winy, lub bez pretekstu, jedynie w celu wytępienia żywiołu polskiego, w wielu miejscowościach Litwy. Porwani i wywiezieni w głąb Rosji uznani byli

za więźniów politycznych i trzymanych w niewoli za winy niepopołnione, a majątki ich kazano sprzedawać.

Cała ta grupa osób porwanych z Szostakowa, wraz z żoną Hofmejstra w liczbie siedmiu, po kilku latach wprawdzie została zwolnioną z przymusowego pobytu na granicach Karelji, w okolicach o przykrych warunkach klimatycznych, wśród ludności bardzo pierwotnej, lecz ze wzbronionym powrotem na Litwę. Wobec tak przykrych sytuacji Hofmejsrowa wraz z całym tem kółkiem pokrewnem, dzielącym z nią niedolę wygnania, przybyła do męża i tam wprędce życie zakończyła.

Po dziesięcioletnim prawie powtórnym swym pobycie na Syberji, niespodziewanie otrzymał Hofmejsster możność wydostania się nietylko ze Syberji, ale wogóle z państwa rosyjskiego. Ktoś z grona jego stosunków koleżeńskich, berlińskich, jakiś szlachetny a przyjazny mu Alzatczyk, wyrobił dlań za pośrednictwem niemieckiej ambasy w Petersburgu, paszport emigracyjny z warunkiem nie wracania do monarchji rosyjskiej. W ten więc sposób rozpoczął się nowy okres jego życia — tułactwo.

Osiada w Galicji, najprzód w Brodach, bo niezbyt oddalał się od okolic rodzinnych, potem w Krakowie, gdzie pozostał do końca życia.

Okres tułactwa, chociaż obfitował w różnorodną niedolę, los nie oszczędzał wygnańca, oświeślały go jednak objawy pamięci owych włości z Szostakowa, których był ten tułacz bezdomny prawdziwym dobroczyńcą. Już na Syberji zaczynał odbierać dowody pamięci swych niegdyś poddanych. Pisują do niego listy, pełne uczucia tęsknoty za przeszłością owych lat, kiedy był ich panem, zwierżają się ze swemi troskami, spodziewają się, że wróci, że wśród nich zamieszka, że obrońcą stanie się krzywd, jakich doświadczają niekiedy od swych sąsiadów, a w każdym liście przebiega się wdzięczność za wszystko, co dla nich robił. Nie rachują się z rzeczywistością, proszą więc, aby był sędzią w zatargach z sąsiadami, aby przysłał „rozkaz“, a ich kwestje sporne rozwiążą się. Ten wygnaniec tymczasem ani wracać do nich nie mógł, czego tak bardzo pragnęli, ani też „rozkazów“ przysyłać.

Kilka tych listów przechowuje biblioteka Jagiellońska w Krakowie. Są one dokumentem dziejowym, świadczącym o stosunku szlachty polskiej do ludu wiejskiego, są świadectwem, że przy dobrej woli, przy pewnej pracy, stosunek ten ulepszać się i ustalać mógł.

Korespondencja wieśniaków szostakowskich rozpoczyna się w ośm lat po powstaniu; trwa lat kilkanaście; słabnie, kiedy pokolenie współczesne rządowi i opiece Hofmeijstra zaczyna wymierać, lecz nie gaśnie aż do jego śmierci... Listy te pisane po rosyjsku, gdyż ów lud Białoruski nie był biegły w wyrażaniu swych myśli po polsku, a zresztą obawiał się pisać w innej mowie niż w języku urzędowym. Przytaczamy parę tych listów w polskim dokładnym przekładzie.

Oto jeden z pierwszych listów, pisany jeszcze podczas pobytu Hofmeijstra na Syberji. Brzmi on tak:

„Szostakowo — 20 czerwca 1871. Miłościwy Panie. My Wasi dawni poddani, Mikołaj Pieczko i Jan Kowalczuk, z których byliście zadowoleni, jak i my z Was, ale nieszczęście chciało, że Bóg Wszechmocny nie dał Wam zamieszkać w swoim majątku: gdzie spojrzeć teraz wszędzie rosną chwasty (wsiechnaje?) i niewesołe owoce; aż nam serce pęka od żalu. Zatem dowiedziawszy się w tym roku, ja Mikołaj Pieczko, żeście Wy zdrowi i chcecie mieć od nas wiadomość, piszemy. Przyczem ośmielamy się donieść o naszym zdrowiu, żeśmy zdrowi, dzięki Bogu, czego i Wam życzymy i prosimy Najwyższego, żeby dał tę łaskę i żebyście do swego majątku wrócili; a nam, żeby pozwolił jeszcze oglądać Wasze drogie oblicze którego, przypominając sobie, nie możemy zapomnieć. Ja Mikołaj Pieczka chodzę po służbie, bo jak wiecie nie mam swojej ziemi; miałem nadzieję dostać ją od Was, ale Bóg nie pozwolił. Nie tracę jednak nadziei, że jeżeli nie ja, to dzieci moje będą oczekiwać tego, bo może da nam Najwyższy, że Wy wróćcie. Ci ludzie Wasi, których uszczęśliwiliście Wy, są zdrowi. Dziękują za Waszą łaskę i proszą Najwyższego, aby pozwolił Wam wrócić. Chcą pisać do Was... A ja Jan Kowalczuk dostałem trzy dziesięciny ziemi od komisji nadawczej, na niej postawiłem dom i mam kawałek chleba, a ze mną mieszka matka, starszka, która prosi Boga, żeby chociaż przed śmiercią mogła Was zobaczyć“...

Tu następują dwa przypiski:

Przypisek pierwszy: Dowiedziawszy się, że ludzie Wasi do Was piszą, ja djacek cerkiewny, którego może Wy nie pamiętacie, bo ja byłem wtedy jeszcze bardzo mały, życzę Wam od Boga zdrowia, szczęścia i całuję drogie ręce Wasze A. Barański.

Przypisek drugi: Ja Filemon Smolik, dowiedziawszy się, że do Was piszą, donoszę, że i ja zdrów, czego życzę i Wam i proszę Najwyższego, aby Wam dał jeszcze powrócić do nas. Ze mną proszą

o to i dzieci moje. Ja teraz sam jestem na gospodarstwie, bo Roman Murzyn wziął trzecią część ziemi i oddzielił się odemnie.

Drugi list bez daty, zdaje się późniejszy, obdarowanego niegdyś Izzydora Murzyna był tej treści:

„Jaśnie Wielmożny Panie! Za darowane nam grunta ja nie przestanę być wdzięcznym, lecz teraz brat mój Jan żąda odemnie połowy, więc ośmielał się prosić przysłać nam wiadomość, komu był darowany grunt, mnie czy mojemu bratu? Przytem proszę i to rozstrzygnąć, czy ta ziemia, którą dostałem za oddzieloną pod cmentarz, powinna do mnie należeć, czyli też do Mikołaja Murzyna i Jana Murzyna, którzy chcą to odemnie odebrać. Izydor Murzyn“.

Znajdujemy też ślad, iż po kilku latach ci włościanie przysyłali prośby w formie urzędowej pisane do Hofmejstra. Widocznie w prostocie ducha mniemali, iż jest on zawsze w posiadaniu swej władzy dziedzica i może wydawać rozkazy, rozstrzygać spory.

Dnia 5 maja 1875 r. taką prośbę urzędową przesyła, pokrzywdzona przez brata męża, Natalja Peczkowa, powołując się na swoją przeszłość. Mówi w tem podaniu: „ja byłam sługą pod opieką Waszych rodziców a moich panów...“

Drugie podobne w formie urzędowej podanie spotykamy od Maxyma Murzyna, który oddaje swe zatargi z sąsiadem pod rozstrzygnięcie dawnego pana. Prośba kończy się wyrazami: „Upraszam najpokorniej przyszlizie r o z k a z, aby mnie tej stodoły nie zabierali“.

W innych listach tej wieśniaczej gromady, które jako późniejsze nie weszły do zbioru biblioteki Jagiellońskiej, czytamy, że Hofmejster uwłaszczając swych chłopów nadał im na chatę po 31 morgów litewskich gruntów bez żadnej indemnizacji. Pewna grupa włościan, jak wyżej wskazaliśmy, dając chętnie ucho różnym pokątnym doradcom, bądź więcej spodziewając się „od cara“ iż da *bolsze*, obawiała się przyjąć dar z ręki pana. Takich było wszakże nie wielu. Ci, co daru nie przyjęli, wyszli najgorzej: gdyż obdarowani wolni byli od ciężarów, a wstrzymujący się od przyjęcia podczas regulacji ogólnej zostali obarczeni indemnizacją.

Nietylko wobec swych włościan Hofmejster był człowiekiem urzeczywistniającym ideę Chrystusa, zalecającą miłość bliźniego. Nawet wśród żydów pozostała po nim życzliwa pamięć. Widzieliśmy sami jak młodzi żydkowie z Kamieńca Litewskiego, sąsiadującego z Szostakowem, chroniąc się przed poborem do wojska rosyjskiego, i szukając chwilowego przytułku w Krakowie, na Kazimierzu, odnajdywali Hofmejsra w jego nader skromnem mieszkaniu, na Kleparzu,

aby mu przynieść pozdrowienie od ojców swych i polecić się jego względom. Bezdomny tułacz nic im dać nie mógł nad słowo życzliwe i chwilę rozmowy o ich miasteczku rodzinnem, na Litwie. Drobnym ten rys świadczy, jak wielkiem było to serce, obejmujące swą miłością w ojczyźnie ludzi wszystkich stanów, wszystkich wyznań i wszystkich gwar.

Na parę lat przed zgonem, kiedy można było mniemać, że już u wieśniaczych ognisk Szostakowa popiołem zapomnienia zasnuta pamięć o Hofmejersterze, odbiera on od włościan tamecznych na dzień Wielkiejnocy jajko ozdobne, dar skromny, sielski prawdziwie, świadczący o niewygasłych uczuciach czci i wdzięczności tej rzeszy siermiężnej. Jednocześnie prosili oni o jego fotografię, a gdy im posłał, wnet nadbiegła odpowiedź z podziękowaniem i ze smutnemi wyrazami: „ze łzami patrzaliśmy na Twą siwiznę, którą przedwczesnie, Pannie nasz, okryła się Twoja głowa“... „gdzie się podziało Wasze dawne oblicze?“

Te odgłosy pamięci i uczuć chłopów szostakowskich są jedyną jego pociechą w ostatnich latach życia; gdy w dzielnicy rosyjskiej rozwiemożniały się coraz bardziej prześladowania, a we wszystkich trzech zaborach rozwinęła się reakcja przeciw powstaniu, nie umiająca uszanować ani grobów bezimiennych bojowników, ani w ogóle przepięknych kart owego samorządowego, z głębin uczuć narodu płynącego ruchu zbrojnego.

Hofmejerster zgaśł cicho, niespostrzeżenie, o świcie dnia 1 lipca 1890 r. pod nr. 5 na placu Matejki w Krakowie. Miasto wówczas właśnie przygotowywało się do wspaniałego hołdu, jaki miał być oddany prochom Adama Mickiewicza. Kraków przyozdabiał się na dzień owego pogrzebu. Festony z różnobarwnego kwiecica i ze wstęgami o kolorach narodowych zwieszały się ponad ulicami. Los mieć chciał, iż dnia 3 lipca, w przededniu owego pogrzebu, nie trumna wielkiego wieszczka, na purpurą okrytym rydwanie, pierwsza przeszła popod temi triumfalnemi festonami, lecz przesunął się pod niemi ubogi karawan, wiozący śmiertelne szczątki Hofmejerstra, również syna litewskiej ziemi, który na ramionach swych niósł krzyż męczeński przez całe życie i legł pod brzemieniem tego krzyża w prochu zapomnienia...

Pisałem w Krakowie
we wrześniu 1922 r.



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000720758



II 22545

